

— Lubieżna damo, najpokorniej proszę was odajcie mi swą piękną rączkę, ja się chcę na was ożenić. Zawiozę was do Pitra. Ja koleżski asesor, mam czyn piękny, naczałstwo mnie szanuje, a chociaż ja Bolesławowicz, to cóż działać, w błoto twarz nie uderzę. Czy pozwolicie mi styszeć?

— Słysz, ale nijak zrozumieć nie mogę.

— Taż to proste lubieżna damo, ja chcę się na was ożenić i proszę o rączkę.

— Co? pan się chce ze mną ożenić?

— Tak, lubieżna madam.

— Czy naprawdę?

— Ta jakże, naprawdę. Przykażcie, a wieńczenie zaraz będzie.

— Zaraz, to nie można. Tu by nam ślubu nie dali. Musimy się rozmówić.

— O to ja proszę. Pozwólcie madam wpuścić mi do waszej komnaty, a my wszystko obsadzimy jak i co zdziałać.

— Zaraz!

Pani Zenobia zdziwiona niezmiernie, ale zarazem zachwycona propozycją Siergieja Bolesławowicza, zapomniała o wszystkich swoich obawach i niebezpieczeństwach, jakoby grozących zawartości jej przepaścistej kieszeni, ukrytej pod suknią jedwabną, i coprędzej skoczyła do lustra, by poprawić swą zbakierowaną mocno perukę i nieład w ubraniu przyprowadzić do porządku. Stanawszy przed zwierciadłem oddającą z nieskazitelną wiernością wszystkie jej wdzięki, twarz żółtą i pomarszczoną, wielki nos burakowego koloru, brodawki porośnięte siwawymi włosami i jedno oko bielmem zasłane, doprowadziła przedewszystkiem do należytej pozycji fantastycznie przekrzywioną perukę, poprawiła czepek z pomarańczowymi wstążkami, coprędzej pudrem posypała swe nadobne oblicze i plastrami różu ukraśliła swe zwidłe policzki. Dokonaawszy tych czynności szybko i z wprawą, świadczącą, że bardzo często takiemu zajęciu się oddawała, poczęła różne miny przybierać, usta sznurować, uśmiechać się rozkosznie, bacznie śledząc w lustrze te grymasy, by się przekonać, który z nich większe wrażenie zrobi na koleżskim asesorze i zapewni jej zwycięstwo wobec propozycji przezeń uczynionej. Nie była bowiem pewną, obdarzona z natury praktycznym zmysłem i podejrzliwością, właściwą ludziom nie będącym w zgodzie z przepisami prawnymi, czy Siergiej na serio myśli o pojęciu jej za małżonkę i czy czasem poza jego propozycją nie kryje się jaka myśl zdradziecka.

Nakoniec przybrawszy najwdzięczniejszy, na jaki zdobyć się mogła, uśmiech, krokiem posuwistym, szeleszcząc jedwabiami swej jasno żółtej sukni, zbliżyła się do drzwi, klucz w zamku zakręciła i ujrzała Siergieja klęczącego przed progiem w pozycyi, któraby umierającego rozśmieszyć mogła. Klęczał on nie bacząc już wcale na dezolację, jaką taka pozycja mogła sprawić w jego nieszczęsnych „niewypowiedzialnościach“, zgłębiony do połowy, błyszcząc nagą łysiną na głowie i mając ręce złożone jak do modlitwy. Całość wyrażała błagalną prośbę i pokorę, któraby nawet nieczułe głowy do łez wzruszyć mogła.

Wzruszyła też tkliwe serce pani Zenobii Kapuścińskiej. Zakryła wstydliwie obu rękami swe oblicze i szepnęła:

— Oh! wstań pan! wstań! gdyby kto zobaczył, jakąż kompromitacją!

— Nie, jej Bohu, nie wstań, dopóki wy, lubieżna madam, nie dacie mi słowa, że będziecie moją żonką.

— Nie nazywaj mię pan lubieżną, bo to, jak Bożę kocham, nie przystoi.

— Co mnie cały świat, napluć na niego, nawet na Iwana Kononowicza...

— Wstań pan do pierona, bo się pogniwam i drzwi panu przed noszem zamknę.

— Ha, kiedy tak madam gadacie, to wstań.

Z trudnością przyszło to wykonać biednemu Siergiejowi Bolesławowiczowi. Najprzód klęczał dość długo, a że był chudy i nożyśka miał cienkie jak patyczki, przytem nie posiadając pod mocno sfatygowanymi „ineksprimablami“ potrzebnych czterech łokci płótna, dotkliwy uczuł ból w kolanach od

twardej posadzki. Stękając tedy, sykając, pomagając sobie długimi rękami, podniósł się nakoniec, ale przy tych wysiłkach nie wytrzymały nieszczęsne spodeńki i nagle rozległ się złowrogi trzask, świadczący o bolesnej, ostatecznej katastrofie.

Ale właśnie w chwilach wielkich nieszczęść poznać można prawdziwie dzielny i męski charakter. Siergiej Bolesławowicz nie zważając na ten złowieszczy trzask, przekonany zresztą będąc, że tego co się dzieje z tyłu, jego nadobna dama widzieć nie może, przytrzymując lewą dłonią usiłującą zadość uczynić prawu powszechnego ciążenia nieszczęsne „niewypowiedzialności“, prawą wyciągnął ku swej damie, chwycił ją gorączkowo za rękę i głośno młaskając ucałował.

Ten pocałunek, umieszczony na kościstej i włochatej ręce pani Zenobii, ostatecznie ją pokonał i zapewnił tryumf Siergiejowi Bolesławowiczowi. Od tylu bowiem lat nikt tej ręki, co prawda nie stworzonej do miłostnego pocałunku, do ust nie przyciskał, a przytem w sferze, w której od dzieciństwa żyła ta reprezentantka pewnych mętów warszawskich,

koleżski asesor, mam czyn i w „tupik“ zapędzę wszystkich przystawów. Ot co jest!

— Szkoda wielka, że ten kuzyn nasz panu nie zapisał choć kilku tysięcy blatów — zauważyła pani Zenobia — przydałyby się, bo taki zakład będzie dużo kosztował.

— Da jakże nie zapisał? zapisał.

— Co zapisał? marne dwieście blatów!

— Nie bójcie się madam, już ja u pan Stanisław to zdziałam, że da mi jeden albo drugi tysiąc.

— Zrobisz pan to?

— Da, poczem nie. To dobry człowiek ten pan Stanisław, on mi da. Jakżeby nie dał!

Ucieszyła się tem oświadczeniem madam Zenobia i nalegać poczęła, aby Siergiej nie zwłóczęc zajął się tą sprawą i koniecznie „wydębł“, jak się wyraziła, choć ze dwa tysiące „fajgli“ (także jej wyrażenie). Siergiusz przyrzekł uroczyście, a gdy ta sprawa była skończona, zapytała:

— A cóż będzie z Ferdziem?

— Da, co ma być, ja jego wezmę w żelazne rękawice, nu!

Przy tych słowach zaświeciły się złowrogo oczy koleżskiego asesora, bo czuł do chłopaka gwałtowny rankor, za nazywanie przyszłego ojczyma „małpą zieloną“, za wywieszanie nań języka, za szpilki w krzesło, za ów pęcherz na plecach, który tyle śmiechu w swoim czasie wzbudził. Mówiąc o żelaznych rękawicach machnął kilka razy groźną ręką, co miało świadczyć, że zamierza ćwiczyć Ferdzia sierotkę. Ale oburzyła się na to srodze pani Zenobia:

— A wara! a zasię! Cóż to sobie acar myślisz, że jabym pozwoliła bić me dziecięcę, moją sierotkę! O! niedoczekanie twoje! oczy bym ci wydrapała, pyski zbiła! Jeszcze czego!

I taki przybrała groźny wygląd, że Siergiej lękając się, aby kwestya „Ferdzia sierotki“ nie rozbiła jego sercowych zamiarów, zmięki odrazu, znów zaczął całować kosmate łapy swojej przysięgi i uroczyście przyrzekł, że nie tknie nigdy jej „dziecięcę“, mówiąc sobie w myśli:

— Da, czorcie babo, niech no ja zostanę twym mężem, to tak wysiekę różgami twego synka „mazurika“, że przez dwa tygodnie siedzieć nie będzie mógł, a i z tobą dam sobie radę. Uwidzimy, kto komu mordobicie sprawi.

Zapanował wreszcie zgoda między przyszłymi małżonkami, na chwilę zakłócona sprawą Ferdzia i pani Zenobia mówiła:

— Jeszcze jeden warunek. Musisz pan Ferdzia przyznać za swego syna, bo te hycle w parafii napisali w mentryce, że jest synem niewiomego ojca.

— Da, tego pana Zygmunta Kozłowskiego!

— E! — roześmiała się pani Zenobia — prawdę rzekłszy to ja sama na pewno nie wiem, czyim on synem. Mężczyźni, to pedam panu,

latali tak za mną, jak wściekli. Czy to ja mogię wiedzieć, czyim jest Ferdzio synem? Hi! hi! hi! Ale ja ju tera ustatkowałam się i porządną je zdem kobieta.

W tej chwili ktoś gwałtownie poczęł się dobijać do drzwi i rozległ się głos Ferdzia:

— Otwórz mama do pierona, bo drzwi wywalę.

Mama pospieszyła co prędzej zadość uczynić żądaniu synka. Wpadł on do pokoju jak z procy i stanął, ujrawszy w czułym sam na sam swą matkę z Siergiejem. Oczy wytrzeszczył, usta rozwarzył i zawołał:

— A to co?

— Ferdziu — rzekła słodkim głosikiem matka — ten pan będzie twoim ojcem, a moim mężem.

— Co? mama się z nim ożeni? Z taką małpą zieloną! Ej, niech mi mama peleryny nie zawraca i da dwa złote, bo z Maćkiem ze stajni będę grał w oko! Meeee!

(Dalszy ciąg nastąpi).



Ubrany był w skórzany kaftan ze starożytnym ryngrafem na piersi, na którym na pół zatarte widać było malowidło Pogoni litewskiej.

nie ma zwyczaju całowania kobiet po rękach. Mile więc uderzył panią Zenobię ten objaw galanterii, uśmiechnęła się wdzięcznie, wstydliwie usiłowała wycofać rękę, którą Siergiej kłaniając się (a biedne jego kości trzeszczały przytem głośno) nieustannie i namiętnie całował.

— Chodźże pan do pokoju — rzekła nakoniec pani Zenobia — bo tu nas kto może zobaczyć i będzie kompromitacją!

Weszli więc oboje i pani Zenobia starannie drzwi za sobą zamknęła i poprosiwszy z gracyą jej właściwą, by niespodziewany wielbiciel siadł obok niej na kozetce, rozpoczęła z nim miłosną konferencyą. Zgadzała się więc naprzód na zostanie małżonką koleżskiego asesora, zgadzała się na to, by porzucił urząd w Petersburgu, który mu przynosił ogółem czterdzieści rubli na miesiąc i przeniósł się do Warszawy, gdzie wspólnymi siłami utworzą wspaniały i dochodny zakład z pannami.

— Z przystawem tylko będzie kłopot — gadała wdzięcząc się pani Zenobia — ale pan przecież masz tytuł koleżskiego asesora, a to coś znaczy.

— Da, jakże? znaczy. Już wy madam o to się nie troszczcie, dam ja sobie radę z przystawem. Ja